

Dziennik amerykański

Ireneusz J. Kamiński

Str. 6

Atomowa wojna bogów

Aleksander Mora

Str. 9

Kazimierz Andrzej Jaworski

SKOK O TYCZKĘ

Rozpęd. I tyczka w ziemię. I skok. I nieważkość
I na lodydze drzewca kwiat ludzki wykwita,
odrywa się i leci skrzydlatą igraszką,
obłoków nad stadionem włosami dotyka.

Przez moment kwiatem, ptakiem jest, wolności gońcem:
zawiśnie nad poprzeczką, zatańczy w błękitcie,
by wrócić znów człowiekiem i walczyć o słońce,
o skrzydła te i kwiaty, i o lepsze życie.

(Z cyklu „Olimpiada” — 1952)

Kammena

LUBLIN 20 VII 1980 NR 15 (709)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

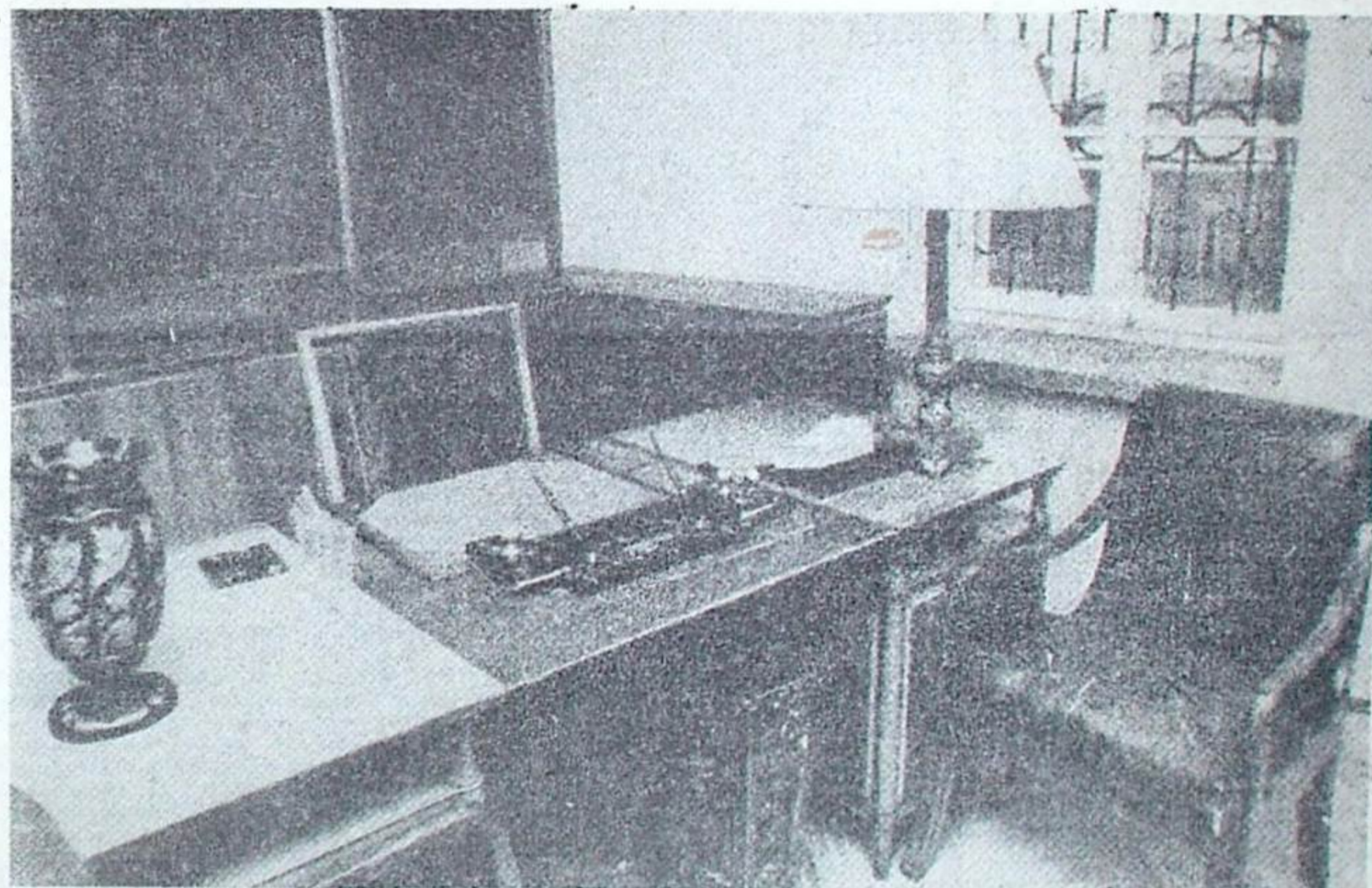
CENA 3 ZŁ

21 czy 22 lipca?

Andrzej Piwowarczyk

DATY wyzwolenia Ciepła nie pomija żaden autor zajmujący się najnowszymi dziejami ojczyzny, ponieważ w szerszej skali oznacza ona początek historii Polski Ludowej. Z tego też powodu ważne jest dokładne ustalenie i przyjęcie, na podstawie przekonujących danych źródłowych, jednej z dwóch zwykle wymienianych dat: 21 lub 22 lipca 1944 r. Sam fakt rozbieżności budzi co najmniej zdziwienie, a informacje z ostatnich kilku lat nadal pogłębiają rozterkę czytelników wydawnictw książkowych, testów pra-

Dokończenie na str. 2



Gabinet Bolesława Bieruła w lubelskim muzeum jego imienia

Fot. W. Sępień

Logika i sztuka

Grzegorz Sztabiński

ODE od dawna estetycy, teoretycy sztuki i sami artyści uważali związek między interesującą ich dziedziną i sferą zmysłową, o tyle relacje sztuki i logiki zaczęły być spostrzegane i podkreślane stosunkowo niedawno. Wprawdzie w krytyce artystycznej pojawiały się sformułowania takie jak „logiczna konstrukcja dzieła”, „logika języka artystycznego”, jednak traktowano je metaforycznie, w sposób niezobowiązujący. Nie próbowano ustalić zasad, na jakich oparte miałyby być owe „logiki”. Nie podejmowane

były próby określenia stosunku między swoistą „logiką artystyczną”, a logiką jako dziedziną nauki, która w dwudziestym wieku zaczęła się wspaniale rozwijać. Sytuacja taka związana była zapewne z wpływem koncepcji Baumgartenowsko-Kantowskiej, gdzie estetykę wyraźnie odróżniono od logiki. Estetyka miała być osobną dziedziną nauki, zajmującą się poznaniem zmysłowym, ustępującym swą doskonałości poznaniu racjonalnemu, którym zajmowała się logika. Dlatego Baumgarten uważał estetykę za „młodszą siostrę” logiki. Jednocześnie zaś wiązał percepcję

estetyczną z pięknem. Myśl tę przejął Kant, u którego przymiotnik „estetyczny” znaczy: 1. „zmysłowy”, „naoczny”; 2. „piękny”, „wzniosły”. W ten sposób nastąpiło powiązanie piękna z tym, co zmysłowo dane. Od tego zaś już tylko krok prowadził do wyodrębnienia dzieł sztuki jako przedmiotów, w których szczególnie istotną rolę odgrywa forma pojmowana jako to, co bezpośrednio zmysłowo dane. Tak nastąpiło zbliżenie sztuki i sfery zmysłowości (sfery estetycznej). Dominacja tego, co zmysłowe, została uznana za cechę wyróżniającą dzieła sztuki. Nie więc dziwnego, że o

logice w odniesieniu do sztuki mówiono i pisano wyłącznie w sensie metaforycznym, mając w pamięci tradycję oddzielania sfer: logicznej i estetycznej.

Sytuacja taka dominowała w refleksji teoretycznej nad sztuką, choć przedstawiciele różnych tendencji artystycznych wskazywali na istotną rolę elementów racjonalnych w działalności twórczej. Decydująca zmiana nastąpiła natomiast w teorii (można

Dokończenie na str. 5

Na tropie istoty rzeczy

ROZMOWA

Z LEOPoldem BUCZKOWSKIM

— Ja jestem nieszczęśliwy, bo właściwie nie wiem, co ja jestem. Najlepiej się czuję, kiedy pracuję siekierą albo dultem, jako rzeźbiarz, kiedy jestem cieszlą.

— A nie pisarzem?

— Pisarzem jestem w chwilach kompletnego załamania psychicznego, co zresztą jest normalne u każdego, nawet najzdrowszego. Ja jestem jeszcze zdrowszy, ale wszystko, co się składa na mnie, to takie bogactwo, że chwilami padam ofiarą tego, co wyraził jeden z filozofów: „Światem rządzi paradoks”. Cała prawda w paradoksie.

— A pan jest człowiekiem paradoksalnym?

— Tak. Wydaje mi się, że w tym jest cały dowcip, jakies szelmstwo. Kiedyś grałem na weselu Boleka Micińskiego. Ślub tu był, w Warszawie, a poprawiny w Zakopanem. Bolek poprosił nasz kwintet akademicki, więc pojechaliśmy mu grać. Trochę dziewczęsiłował temu weselu Szymanowski. Po pierwszej w nocy przyszli górale i zaczęli rytać swoją muzykę. No i to już było to, co by estetyzujący pan określił — bachanalia. Nad ranem opuściliśmy wesele. Był poranek w Zakopanem, ta cisza i gdy przechodziłem Krupówkami na jednej bramie zobaczyłem ogłoszenie napisane chemicznym ołówkiem: „W dniu pogodnym loszę, zaś w dniu słotnym pobijam beczki i naprawiam zegarki”. To samo jest ze mną: w dniu pogodnym trzeba kosić, trzeba rzeźbę uprawiać, ale jak już przyjdzie jesień, deszcze, plucha, smotołocha, to piszę. Ze mną ludzie mają kłopot. Jestem suwerenny. Nie urzędowałem ani pół godziny.

— Chcę panu zadać pytanie, które właściwie jest cytatem z pańskiej książki. Urodził się pan w roku 1905, gdy wiek XX naprawdę się stał i przeżył pan tyle epok, tak szybko wszystko szło, więc jak się powiodło pańskiemu wewnętrznemu czwaleczństwu podczas tylkokrotnych zmian politycznych?

— Najtragiczniejsze było chłopstwo. To jest cień — 1914 — rok. Jestem w tak zwanej przedwstępnej klasie szkoły ludowej w zabrze austriackim. Ta przedwstępna zaczynała się w sierpniu. Jesteśmy drugi czy trzeci dzień, uczymy się hymnu „Boże chroń nam cesarza” i wtedy wchodzi do klasy łandarm austriacki i coś szepce nauczycielce do ucha, a ona powiada: „Dzieci, szkoły już nie będzie, dlatego, że jest wojna” i my wszyscy hurra! wyskakujemy radośnie. Ale wtedy tak naprawdę to zaczęła się ciąg tragizmów. Już następnego dnia nocowaliśmy w lesie. Fortali-

cja, w której mieszkaliśmy na Kresach, stała w ogniu, już byli Kozacy, bo przez las granica Austrii z Rosją. Okres pierwszej wojny był straszny, bo dzieci na tym przyfronciu w Galicji żyły często tylko z tego, co kucharze wojskowi dali. Potem szkoła powszechna, krótko, szybko, skrót, potem gimnazjum klasyczne. W internacie też głodno, boso, na śniadanie zawsze zupa kminkówka, kawaleczek chleba. No, a później, po gimnazjum, szukaj wiatru w polu! Ledwo je skończyłem, zabrali mnie do wojska, no bo tyle strat mieliśmy z okresu wojennego. To nie były dobre czasy. Ale ja nie trądzę, bo jestem filozofem swojego rodzaju.

— A jak się zaczęło pańskie piarstwo?

— Widocznie siedział artysta we mnie, jakiś trochę zbuntowany, trochę zrozpaczony, bardzo młody byłem, gdy napisałem „Wertepy”. Zaczęłem studiować mechanikę, ale nie szła mi ta mechanika, bo widocznie moja wyobraźnia była za żywa, chyba za bogata, że bym siedział w jakichś tam definicjach, stosunkach epicykloidy do hipocykloidy. Mnie interesowało dalej: gdy wprowadzimy cięcie, gdy rzucimy spiralę na płaszczyznę p² lub p⁴. Mój kolega mówił: „Jak ty tak spekulujesz, to idź na geometrię wykreślną, to jest doskonały wstęp do filozofii”. Zostawiłem mechanikę teoretyczną, przeniósłem się do prof. Bartla i bardzo dużo z jego wykładów wyniosłem, stąd mam w piarstwie cały szereg płaszczyzn i obrazów w płaszczyźnie. Będąc u Bartla na geometrii wykreślanej, zacząłem chodzić na seminaria do Chwistka i Lempickiego. A ponieważ Chwistek był malarzem, myślałem sobie: „Ja się muszę też zainteresować malarstwem, rozpoznać”. I któregoś dnia przeniósłem się do Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

Z piarstwem było inaczej. Zrobiłem dyplom z grafiki. To były lata 1933-35, okres stagnacji, bezrobocia, bieda, nędza. Co było robić? Jako grafik zgłosiłem się do zakładów graficznych braci Koziańskich na Starym Mieście. Przyjeźli mnie na zasadzie wolontariusza. Ci drukarze, litografowie, gdy się trochę popili i któryś miał zaniedbaną robotę, to prosili mnie i mu zrobiłem, a on odpalił mi 5-7 złotych. I tak pracuję dwa miesiące, któregoś dnia wychodzę na miasto, parzę — ogryzki z jabłek leżą na ulicy. Jezus Maria, ogryzki z jabłek! Co ja tu robię? Trzeba wracać do domu na Kresy.

A tam zastałem młodego lekarza, mniej więcej mojego rówieśnika, bardzo sympatyczny, ale trochę komunistujący, nie radykalnie, lecz w widzeniu ustawionym wobec biedy bardzo czujnie. Zaprzyjaźniłem się. I tak sobie spędzamy jesień, zima przechodzi, a kiedyś on powiada do mnie: „Leopold, dosta-

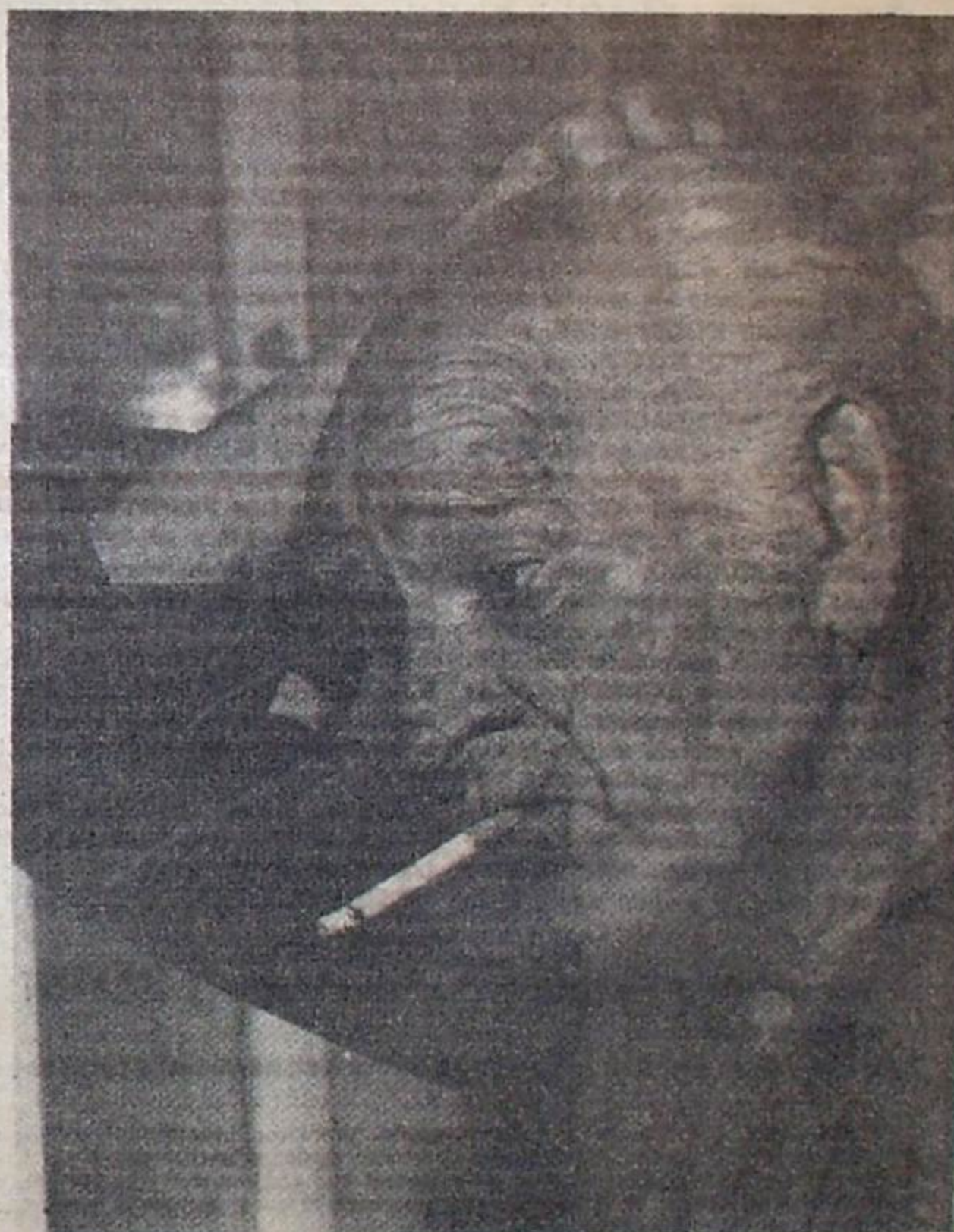
łem od prokuratora nakaz przeprowadzenia sekcji zwłok. Tam, pod Szyszkowcami w polu leży człowiek zabity, pojedziesz ze mną, będziesz mi protokółował”. Dwadzieścia kilka kilometrów śmy gnali sankami i przyjechaliśmy w pole. Na śniegu leżał jakiś biedny człowiek, kurtka, spodnie bledne, buty jeszcze biedniejsze, takie pokurcze w śniegu, cały pobity. Dramatyczne. I to zrobiło na mnie wielkie wrażenie, głębokie i istotne, jakoś mnie osadziło w sprawach dotkliwych i docieklivych. Więc pomagam mu, sekcja zwłok, rozbiłanie z kurtki, wszystko bieda, nędza, pobity, posiniaczony, pomortyły, lekarz go obraca, opisuje i opisuje. Pierwsze to żołądek. Wszystko to w warunkach asanitarnych. On tu ten brzech i powiada do mnie: „Leopold, zapisz treść żołądka: trzy, pieczone kartofle”. Wie pan... trzy pieczone kartofle... tak... I to trwa, trwa. My się babczymy cały dzień. On skrobał, skrobał, przecinał, przecinał, wszystkie urazy, pęknięcia w wątroby i tym podobne. Gdy wróciliśmy, spisałem ten protokół, siedziałem kilka dni, precyzowałem w jakimś porządku. Czwartego czy piątego dnia siedliśmy wieczorem i ja czytam, a on powiada: „Leopold, to jest cudowna proza. Ty wiesz, jakie to cudowne jest, achi! To jest proza, proszę cię!” Ja usiadłem,

skim piarstwem. W centrum jest artysta, a cały świat, galaktyki uciekają wciąż dalej. Czy można te galaktyki dogonić? Dokąd pan chce ze swoim dziełem dojść?

— To jest sprawa, jak my się rozszerzamy, jak my to ogarniamy. Jak na przykład ogarniamy kobietę: ona jedyna i absolutna. Zaś później to nam się rozszerza. Oczywiście w tym jest proces biologiczny i ciśnienie atmosferyczne, i soki, kwasy, i enzymy, cały biologizm, metabolizm. A później zaczynamy widzieć wszystkie kobiety. W tym kotle i matka, i babka, i narzeczona, i pierwsza dziewczyna, druga, czwarta, i ta która gryzie, kąsa — wszystkie. I teraz trzeba wyrzucić z tego jakąś całość. Ta całość promieniuje, nie dosłownie, ale w swojej integralności. To samo jest z autorem, z tym nieszczęśliwym uwrażliwionym, że tak rozszerza i w tym swoim nieszczęśliwym chciałby tę galaktykę, te wszystkie zespoły jakoś uporządkować, znaleźć dla siebie ratunek, dla, przejdź chwile pocieszenia, chwile złudy... Bo tam dalej nie ma nic, proszę pana. Tam dalej nie ma nic.

— Ale pan idzie dalej.

— Wbrew. Wbrew, bo bym się zadusił. Tu jest dużo spraw, które sprowadzić mogą. Jak tego Wojaczka biednego czy Stachurę do ka-



Fot. A. Krystyniak

myśle: proza, proza. I w parę tygodni później zacząłem sobie wieczorami powoli pisać. Dwie zimy tak te „Wertepy” nawarstwiałem.

— W pańskich książkach, od „Wertepów” po np. „Kapiele w Lucca”, krąg widzenia, artystycznego uczestnictwa w świecie, jakby się rozszerzał. Najpierwo jest świat wsi — „Wertepy”, potem rozrasta się — przez „Czarny potok”, „Drogi krzyżanek”, „Pierwsza światłość” — do próby dokonania syntezy XX wieku, a potem dalsze pańskie książki — „Młody poeta w zamku”, „Kapiele w Lucca” — to jest próba pójścia szerzej jeszcze, przez całe epoki. Pan rozprzeźbnił krąg, coraz dalej przesuwa granice uczestnictwa artystycznego. Czy literatura może się wleczanie „rozszerzać”? Bo człowiek już nie tylko przestaje widzieć, w czym istnieje, ale przestaje rozumieć, w czym istnieje. Tak też jest z pa-

niastrofy. Absolutnie chcemy się zetknąć z czymś, co jest, albo nie jest; jest, albo nie jest. To jest sprawa tragizmu, niepokoju, nieszczęścia. Co mnie niepokoi. Nie tylko mnie, jest kilku ludzi w Europie, może więcej, może ośmiu, jak ojców bazylianów, niepokoiły się tymi sprawami. To, co ja uprawiam, zresztą nie tylko ja, to nie są powieści, to są jakieś próby. Naprawdę to były dokumenty, sprawozdania. Teraz szukam jakichś zaczątków, które byśmy mogli posprawdzać, spróbować wyłuskać znanym, przyjąłbym czy interesującym się sprawami świata. Cokolwiek bardzo powikłana. Mnie się wydaje, że jest jakaś skaza, która się pogłębia, ta skaza nabiera cech totalnych.

— Skaza świata.

— Skaza gatunku, skaza genetyczna jakaś nastąpiła, schorzenie.

URODZONY w 1943 roku, należy Jaroslav Čejka do indywidualności młodej poezji czechosłowackiej. Debiutował w 1966 roku zbiorem wierszy „Gość w domu”. Potem jego wiersze ukazywały się w dwóch kilkuposobowych almanachach: „Jaka radość, jakie szczęście” (1973) oraz „Spiewaj, ja sobie przypomnę” (1976). Dwa ostatnie tomy Čejki to „Miłość sentymentalna” (1979) oraz „Tajemnica publiczna” (1980). Z jego licznych nagród literackich warto wymienić I miejsce, w rozstrzygniętym

w maju br. VIII konkursie poetyckim im. V. Nezvala, za tom wierszy „Książka życzeń i zażaleń”. Jaroslava Čejkę poznałem podczas międzynarodowych Dni Poezji, jakie odbyły się w dniach 20–27 maja br. w Pradze i Trzebieży, gdzie jedną z licznych imprez było właśnie rozstrzygnięcie ósmej edycji konkursu im. V. Nezvala. Z odbytej wówczas rozmowy z J. Čejką pragnę przytoczyć krótki fragment: — Jaki swój sukces literacki ceni pan najbardziej? — Właśnie obecną pierwszą na-

grodcę w konkursie im. V. Nezvala, w którym wystąpiło kilkudziesięciu autorów.

— Jacy poeci wywarli wpływ na pańską osobowość twórczą?

— Z pewnością Verhaere, Apollinaire, Cwielajewa...

— Czy po trzydziestce jest się jeszcze poetą?

— Groźba rutyny? Tak, ale i większe doświadczenie twórcze.

— Czy poezja ma szanse, skoro już wszystko wypiewała i rozbrzdąca?

— Z poezją jest tak jak ze starą kopalnią żelaza: zawsze jest szansa znalezienia.

Zamieszczamy przekłady wierszy z nagrodzonego tomu „Książka życzeń i zażaleń”, w którym znalazł się cykl utworów zatytułowany „Zabawy towarzyskie”, gdzie Čejka pomyslowo wykorzystuje motywy popularnych gier towarzyskich. Z tego właśnie cyklu pochodzą „Szachy” i „Halma Ekha”.

Henryk Pałak

Jaroslav Čejka

SZACHY

W grze jest król i królowa
Dwie wieże dwa konie dwa gońce
I kilka pionów które
Zwykle padną pierwsze

Piony kształtują dzieje
Krok za krokiem idą na spotkanie
Swoich zwyczajnych losów

Wstają codziennie o piątej rano
Na śniadanie jedzą kielbasę z piwem
Pod surowym okiem gońców
Tych ruchliwych i prostolinijnych
Choć nieco ograniczonych
W wyborze właściwego ruchu

Gońców widać wszędzie
Z zaskakującą szybkością zmieniają
Żony mieszkania pracę
Niszczą i bywają niszczone

Wieże są ciężkie i wygodne
Czego dopadną na tym siedzą
Nie lubią zmian
A zmiana mieszkania czy stanowiska
Jest dla nich tak bolesna
Jak dla chorego punkcja nosa
Znieruchomiła ośpiąle szemrzą
I tkwią na drodze
Zawadzają

Konie to figury specjalne
Docierają drogą okrężną
Atakują z flanki
Bywają bardzo niebezpieczne
Ale podatne na kontuzje

Bo czym kto walczy od tego ginie

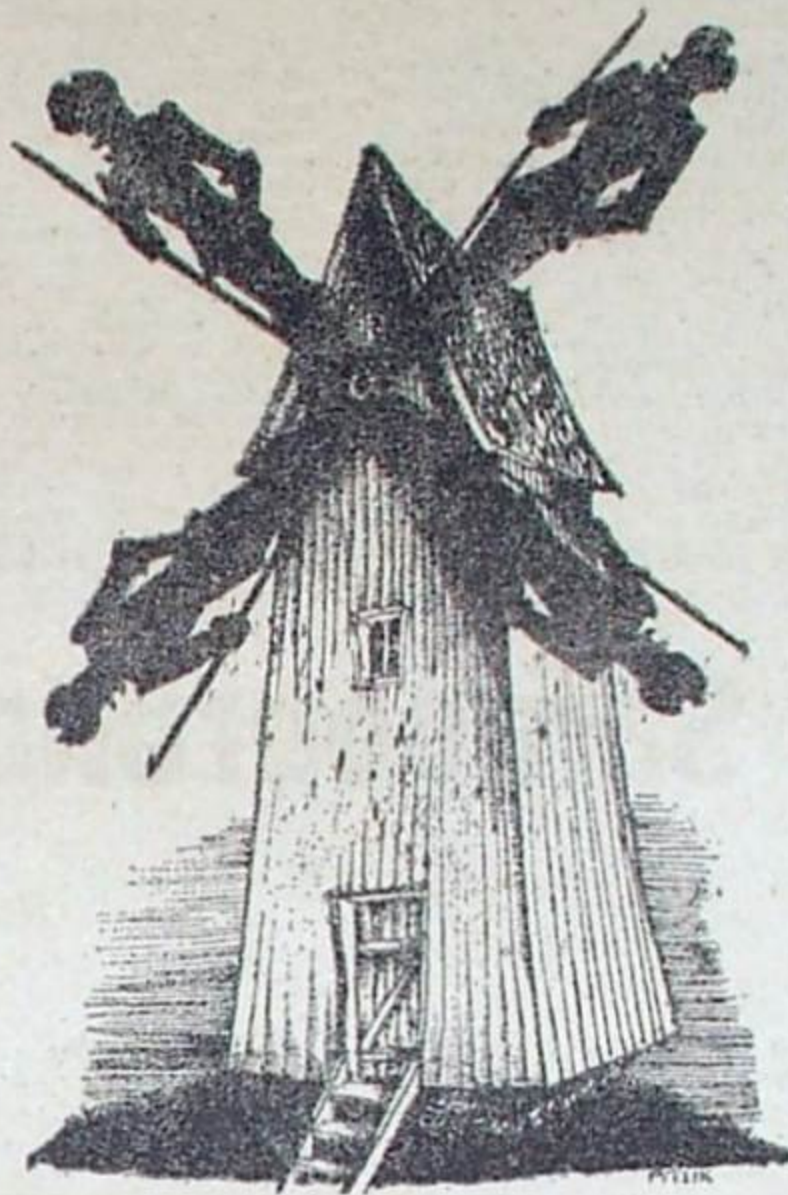
Przed królem nie ma celu
Jedynym sensem jego bytu
Tylko i tylko trwanie
Za to królowa ten odwieczny pretendent

Nigdy nie pragnie odpoczynku
Może wszystko i wszędzie nawet
Atakować obcego króla
I nie można jej zagrozić
Bez uprzedzenia
Stąd to przepiękne słowo garde
Jakże wytworniejsze od słowa szach

Szach to paskudne słowo
Jak ultimatum
Jak bomba pod samochodem ministra
Jak strzelec w magazynie Dallas
Jak samoloty nad pałacem Allende

Gdy padnie król gra skończona
Figury w polu się zmieniają
A gdy królowa padnie to się tylko czeka
Na pioną co jej miejsce zajmie
W tym czasie gońce wieże i konie
Bronią swych krzesel i biurka

Bez celu miotają się z pola na pole
Czasami w przód a częściej wstecz
Przydatne jak bezzwrotna pożyczka
A natrętne jak niespłacone raty



Rys. Z. S. FyHR

HALMA EKHA

Halma ekha
Do mądrego świat należy
Kto chce szybko osiągnąć cel
Musi mieć dobry start
Dobre schodki albo solidną drabinę

Halma to gra w której nie oplaca się
Gra solo
I zapominać o tych co zostali z tyłu
Bowiem ostatni
Mogą choć raz być
Między pierwszymi
I w halmie można wyprzedzić przeciwnika
Ale nie trzeba go niszczyć
Halma to nie karna ekspedycja
Przeciwko ryżowym polom
Przeciwko bezbronnym dzieciom

Halma to gra pokojowa
W halmie wygrywa ten kto szybszy
I tak jak nie wchodzi się dwa razy do tej
samej rzeki
Tak nie można rozegrać dwa razy tej samej gry

Ani w halmie
Ani w życiu
Bowiem na błędach człowiek się uczy
I do tego zawsze kończy inaczej
Gdzie wczoraj drzwi stały otworem
Dziś są zamknięte
Gdzie kiedyś było solidne wejście

Nie został kamień na kamieniu
A gdzie niegdyś wschodziło słońce Azji
Wisi na zawsze atomowy grzyb
Halma ekha
Do mądrego świat należy
I na błędach się uczy
Dlatego niezbędna jest odrobina rezerwy
Zwłaszcza przy pierwszych ruchach
Dlatego trzeba wiedzieć
Z kim siadamy do gry
I dlaczego

MORZE

Morze miłości
Morze zawodów
Morze lez
I morze czarnej kawy

Morze nieprzespanych nocy

I na tym morzu niezliczone
powszednich dni flotyllę
Barki transportowe zmęczenia
Wojenne okręty kłótni
I lekkie żaglowce
Ulotnego szczęścia

W sieci rybackich barek
Co jakiś czas wpadnie syrena
A wielorybiczne statki niewiary i zdrady
Miotają harpuny w wodę
I ugodzą kolejnego
Białego wieloryba
Czyli nie nowego pod słońcem
Ani w poezji
Przecież to wszystko już tu
Wielokrotnie było
Wylawiacze min pojednań i przeprosin
Stoją przez całe lata w pogotowiu
I okręty podwodne wzajemnej nieufności
Przecinają ton peryskopami
W tym czasie u brzegu opustoszałych plaż
Kołyszą się na falach
Dziecięce koła

I pod tym wszystkim
Na głębokim dnie morza
Na zawsze spoczęły
Bezużyteczne uroki szczenięcych marzeń
Wspólnych planów z czasów
sprzed dziesięciu dwudziestu lat
Zwrócone klucze do mieszkań
Wspólnie wypite butelki
I dawno odłożone
Obrączki ślubne

Długo udawało się nam
Omijać te rafy
I zdradliwe mielizny
W morzu sargassowym wyległy się
Węgorze moich wierszy

I w tym morzu nas wieńka gestoda
Miłości i goryczy sama uniosła
W Białym morzu omijaliśmy
Z lepszym lub gorszym skutkiem
Góry lodowe skryte w wodzie

I cały ten ocean
Cały ten ocean wspólnie przeżytych lat
Trzeba teraz w ciągu jednego dnia
Osuszyć przelać podzielić na dwoje
Jak dziesięć deko kielbasy
Wymazać z mapy życia
Zapomnieć i zacząć od nowa

I to jest wszystko

Zacząć od nowa
Stwarzanie świata
Albo morza

Przekłady: Zdena Nemcova
Henryk Pałak

Atomowa wojna bogów (IX)

Aleksander Mora

OCENA moralna zwycięzców w kolejnych wojnach i stosowanych przez nich metod walki nie była wśród ówczesnych ludów jednoznaczna, skoro odnosi się wrażenie (w związku ze swarami i niezgodą panującą wśród bogów, z samym Jahwe włącznie), że tradycja biblijna była w sposób celowy cenzurowana, zgodnie z dyrektywami wydanymi przez bogów Hebrajczyków, którzy mieli zrozumiałe powody, aby ukrywać fakt, że ich władza zaprowadzona została wśród rozruchów i zamieszek. Nie znajdujemy niczego podobnego wśród założycieli i krzewicieli innych tradycji istniejących współcześnie z tamtymi.

Lecky wskazuje, że większość gnostyków uważała boga żydowskiego za niedoskonałą istotę, stojącą na czele fałszywego systemu moralnego. Wielu ponadto uważało religię żydowską za system opierający się na zasadzie Zła, przyjmując, że Szatan jest bogiem świata materialnego. Dlatego Kainici czynili każdego, kto się temu przeciwstawiał, przedmiotem czci, Ofici natomiast jawnie oddawali część boską wężowi. Mamy więc, być może, chociaż częściowe wyjaśnienie szacunku, jakim większość gnostyków darzyło węża, w fakcie, że to zwierzę, które wśród chrześcijan stanowi symbol Zła i Szatana, miało zupełnie odmienne znaczenie w symbolice starożytnej.

Walka między młodymi bogami, która poprzedzała, a następnie ustanowiła panowanie Jahwe na Ziemi lub tylko na pewnych jej obszarach, opisana jest w judeo-chrześcijańskiej tradycji w epizodzie, w którym Archaniół Gabriel niszczy Smoka. W Apokalipsie Świętego Jana (12:7-9) czytamy: „I nastąpiła walka na niebie: Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem. I wystąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł, i już się miejsce dla nich w niebie nie znalazło. I został stracony wielki Smok, Wąż Starodawny, który się zwie Diabeł i Szatan, zwodzący

całą zamieszkałą Ziemię, został stracony na ziemię, a z nim straceni zostali jego aniołowie”. Zaś prorok Izajasz woła (14:12-15): „Jakże to spadł z niebios, jaśniejący Lucyferze, Synu Jutrzenki? Jakże runąłeś na ziemię, ty, który podbijałeś narody? Ty, który mówiles w swoim sercu: Wstąpię na niebios; powyżej gwiazd Bożych postawię mój tron. Zasiądę na górze obrad, na krancach północy. Wstąpię na szczyty obłoków, podobny będę do Najwyższego. Jak to? Straconyś do Szeolu, na samo dno Otchłani?”

Czy z tego wynika, że pod nowymi rządami wszystko przebiegało w łagodności i pokoju? Wcale nie. Pojawily się nowe waśnie, a ich przedmiotem tym razem był właśnie nowy twór — człowiek, którego pojawienie się nie dla wszystkich było jednakowo pożądane.

Abu Zayd Al-Balkhi znalazł na marginesie Koranu zapis, który podaje pewne wskazówki na temat sposobu myślenia i zamiarów naszych przodków czy poprzedników. Treść zapisu jest następująca: „Mam zamiar, powiedział Bóg, ustanowić na ziemi namiestnika (oto jak nazwał człowieka — A.M.). Ale aniołowie, towarzysze Iblisa, zwanego wówczas Azazilem, odpowiedzieli mu: Czy masz zamiar umieścić na Ziemi kogoś, kto wprowadzi tam rozkład moralny, korupcję, zepsucie i rozlewać będzie krew, wówczas, kiedy my nie przestajemy cię wielbić? Ale Bóg odpowiedział: Ja wiem to, czego wy nie wiecie”.

Jak już choćby z treści tego zapisu wynika „człowiek” (tzn. trzecia i czwarta grupa wg przyjętej przeze mnie poprzednio klasyfikacji) nie cieszył się uznaniem bogów (druga grupa), a przy takim stosunku wzajemnym o konflikt nie trudno, tym bardziej, że człowiek wbrew wszelkim nakazom i zakazom ciągle sięgał po „owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego”. Tak więc konflikt, wobec na-

rastania wzajemnych niechęci, był nieunikniony, a jak do niego doszło, opowiada między innymi Platon w swoim dialogu pt. „Kritias”:

„Przez wiele pokoleń, póki im starczyło natury boga, słuchali praw i odnosili się życzliwie do bóstwa, którego krew w nich płynęła. Ich postawa duchowa nacechowana była prawdą i ze wszech miar wielkością. Łagodność i rozsądek objawiali w stosunku do nieszczęść, które się zawsze zdarzają, i w stosunku do siebie nawzajem, więc patrzyli z góry na wszystko, co było w danej chwili, uważali za drobiazg i lekko znosili, jakby ciężar, masę złota i innych dóbr; nie upijali się zbytkiem i bogactwem ich nie zaślepiało, i nie prowadziło do utraty panowania nad sobą. Bardzo trzeźwo i bystro dostrzegali, że i to wszystko pod wpływem miłości wzajemnej, przy dziełności wzrasta; [...] Ale kiedy w nich cząstka boża wygasła, dlatego że się często z wieloma pierwiastkami ludzkimi mieszała i ludzka natura zaczęła brać górę, wtedy już nie umieli znosić tego, co u nich było, zrobili się nieprzyzwoici i kto umiał patrzeć, ten widział już ich brzydotę, kiedy zairacili to, co najpiękniejsze pośród największych dóbr. Tym, którzy nie potrafili dojrzeć życia naprawdę szczęśliwego; wydawało się właśnie wtedy, że są osobliwe piękni i szczęśliwi, kiedy ich tymczasem napełniała chciwość niesprawiedliwa i potęga. Otóż bóg bogów, Zeus, królujący zgodnie z prawami, umiał dojrzeć taki stan rzeczy, zobaczył, że się marnuje ród, który był jak się należy, więc karę im wymierzyć postanowił, aby się opamiętali, nabrali rozumu i zaczęli panować nad sobą, więc zebrał wszystkich bogów do ich prześwietnej siedziby, która się wznosi nad środkiem całego świata, zaczęł widzi wszystko, co ma udział w powstawaniu, a zebrawszy powiedział...”

Na tym urywa się dialog Platona i wydawać by się mogło, iż nigdy nie dowiemy się, jaki był dalszy bieg wypadków. Jednak istnieje i druga opowieść — biblijna księga Rodzaju (6:6-7), która jak się zdaje, zawiera odpowiedź na pytanie, jakie każdy z nas zadaje, po przeczytaniu Platonskiego „Kritiasa”: Co powiedział bóg bogów Zeus? Księga Rodzaju mówi: „...a widząc, że wielka była złość ludzka na ziemi [...] bolal w sercu swym i rzekł Bóg: Wyglądnę człowieka, którego stworzył, z oblicza ziemi, od człowieka aż do bydła, aż do gadziny, i aż do ptactwa niebieskiego. Bo mi żal, że je uczyniłem”.

Wydaje się więc, że postęp moralny nie przebiegał równoległe z technologicznym. Znane wady ludzkości i dążność jednych do dominacji nad drugimi, zwielokrotnione ogromnymi możliwościami zaawansowanej wiedzy i techniki, doprowadziły do otwartej rywalizacji między mieszkańcami naszej planety. A rezultatem decyzji Jahwe czy Zeusa była znowu straszliwa wojna, której sposób prowadze-

nia, zastosowane środki i konsekwencje nazkicowano już w pierwszym odcinku niniejszego cyklu, zaś opisy jej przebiegu znajdujemy rozproszone w tradycji różnych narodów, między innymi także w tradycji biblijnej.

W Księdze proroczej Izajasza (13:3-5) czytamy: „Ja dałem rozkaz moim poświęconym, z powodu mego gniewu zwołałem wojowników, radujących się z mej wspaniałości. Uwaga! Wrzawa Królestw, sprzymierzonych narodów. To Jahwe Zastępów robi przegląd wojska do bitwy. Przychodzą z dalekiej ziemi, od granic nieboakłonu, Jahwe i narzędzia jego rozgniewania, aby spustoszyć całą ziemię”. Podobnie w Psalmach (68:18): „Rydwanoł Boży jest dwadzieścia tysięcy, wiele tysięcy aniołów, to Pan wraz z nimi do Świątyni przybywa z Synaju”.

Nie ulega wątpliwości, że straty wojny atomowej nie kierowali swej broni na plemiona takie, jak współcześnie nam żyjący Zulusowie, Pigmeje czy nieszkodliwi Eskimosi. Skierowali ją na ośrodki cywilizacji. Tak więc radioaktywny mord ponownie przeszedł przez postępowe i wysoko rozwinięte narody i ośrodki. Pozostały natomiast oddalone od ośrodków cywilizacji, zacofane w rozwoju, ludy dzikie i prymitywne plemiona. One jednak nie były w stanie przekazać informacji o istniejącej kulturze ani nawet poinformować o niej, ponieważ nie brały w niej udziału.

Większa część kuli ziemskiej pokryta została żarzącymi się pustyniami, gdyż promieniowanie ciał radioaktywnych nie pozwala rozwijać się żadnym roślinom. Po kilku tysiącach lat — jak powiada Däniken — nie pozostało już nic z zatopionych oraz spalonych miast i miast. Natura jedynie z nieskończoną cierpliwością przedzierając się poprzez ruiny, a żelazo i stal, porządziła, rozpadły się na piasek, aby po tysiącach lat wszystko mogło się zacząć od początku.

Bibliografia

- 1) Erich von Däniken, „Charlots of the Gods”, London 1968.
 - 2) Erich von Däniken, „Wspomnienia z przeszłości”, Warszawa 1974.
 - 3) Erich von Däniken, „The Gold of the Gods”, New York 1973.
 - 4) Ignatius Donnelly, „The destruction of Atlantis”, New York 1971.
 - 5) Charles Fort, „The book of the Damned”, New York 1941.
 - 6) Alfons Gabriel, „Die Wüsten der Erde und ihre Erforschung”, Hamburg 1961.
 - 7) A. Gorbowski, „Kozum Kosmosu”, Crikvenca 1976.
 - 8) Aleksander Kondratow „Zaginione cywilizacje”, Warszawa 1979.
 - 9) W. E. H. Lecky, „History of the rise and influence of the spirit of rationalism in Europe”, New York 1907.
 - 10) P. Misrahi (pseudonym P. Thomas), „Les Extraterrestres”, Paris 1962.
 - 11) Andrew Tomas, „We are not the first”, New York 1973.
 - 12) E. Le Peer Trench, „The sky people”, London 1960.
 - 13) Jacques Vallee, „Anathomy of a phenomenon”, New York, 1966.
 - 14) John N. Wilford, „We teach the moon”, New York 1968.
 - 15) Ludwik Zajdel, „Atlantys”, Warszawa 1963.
- Wskorzystano również niektóre informacje zawarte w następujących czasopiśmie: „New Scientist”, 1979, 1980; „Sage”, 1972, 1975; „UFO Reports”, 1975, 1976, 1977; „Ufology”, 1976, 1977; „Argosy UFO Annual”, 1975; „Official UFO”, 1977, 1978.

W sprawie chronologii

ZWIELKIM zainteresowaniem czytałem cykl „Atomowa wojna bogów” drukowany ostatnio w „Kamieniu”. Jednakże nie zgadzam się, że owe wojny atomowe czy jądrowe miały miejsce w zamierzczłej przeszłości, tak gdzieś pomiędzy 100 000 a 50 000 lat temu. Zgodnie z hipotezą artykułów A. Morę, byłyby one prowadzone przez „bogów” przeciw ludzkości bądź między ludźmi reprezentującymi wysoki poziom cywilizacji. Według autora cyklu, największe pustynie świata były terenem wybuchów nuklearnych, przez co do dziś są niejako wysterylizowane. Z tym punktem się zgadzam, ale trudno dopuścić, aby pracywilizacje istniały tylko w tych terenach, aby nie było jakiś ich śladów (technicznych) w innych punktach kuli ziemskiej i aby dosłownie nie z nich nie pozostało. I to nie tylko z tzw. „dóbr materialnych”, ale i śladów eksploatacji minerałów, kopalń, odwiertów itp.

Moim zdaniem — nigdy na Ziemi nie istniała cywilizacja ludzka porównywalna poziomem techniki z naszą lub ją przewyższająca. Prawdopodobnie natomiast jest, iż w zamierzczłych czasach na Ziemi ingerowali „obcy” — spóźna naszej planety. Możliwe jest również, iż w pewnym okresie na Ziemi wyładowała z kosmosu druga niezależna rasa kosmitów, wynikiem czego były wojny między nimi. W tej wojnie czy wojnach nie liczone się z życiem ziemskim ani z ludźmi ja-

ko istotami rozumnymi, gdyż poziom ludzi był przecież nieskończenie niższy niż „bogów”.

Ze wstydem muszę przyznać, iż dotychczas nie znam pełnego tekstu ani „Ramayany”, ani „Mahabharaty”. Wydaje mi się jednak, że w pierwszym odcinku cyklu A. Morę istnieje nieścisłość. Mianowicie podano tam starożytny opis, jak Rama ze swą małżonką Sita lecieli ze Sri Lanka do Indii. Czy jest absolutnie pewne, że wymieniono w tym opisie „Sri Lanka”, a nie samo „Lanka”? To wielka różnica, gdyż „Sri Lanka” jest pojęciem geograficznym, starożytną nazwą wyspy „Ceylon”, która oderwała się od kontynentu Indii pomiędzy 2600 a 2700 r. p.n.e. Natomiast „Lanka” to nazwa zaginionego kontynentu, leżącego pomiędzy Madagaskarem a Indiami. Kontynent ten uległ zagładzie właśnie pomiędzy 2600-2700 r. p.n.e. i wówczas południowy cypel Półwyspu Indyjskiego utworzył wyspę „Sri Lanka”.

Może kogoś zaskoczy fakt, iż dysponuję precyzyjnymi obserwacjami astronomicznymi z okresu wojny opisanej w „Mahabharacie” i „Ramayanie”. Dane te zawarte są w książeczce (przedruk dokonany w Madras 1974 r.) napisanej w języku Karnataka, mam natomiast jej tłumaczenie w rekopisie angielskim, dokonane przez Hindusa pochodzącego ze stanu Karnataka, dr Sunder Seshu. Posiadam też „Kalendarz Wedycki” z okresu powyżej 7 000 lat p.n.e. wraz z komentarzem w języku angielskim, dokonany przez dr Sampath Iyengar z Instytutu Chronologii Indii w Madras. Nadmieniam, iż są to przedruki, wydane w znikomym nakładzie po 500 egz., tak że chyba jedynie egzemplarze w Polsce.

Otóż dane astronomiczne, określające precyzyjnie propozycje niektórych gwiazd i konstelacji na niebie w okresie „Mahabharaty” i „Ramayany” — przy konfrontacji ich z astronomizycznym „Kalendarzem Wedyckim” — pozwalają ustosunkować w czasie następujące wydarzenia:

- a) lądowanie Hanumathy w „Lanka” — 4401 rok p.n.e.
- b) koronacja Ramy na króla — 4400 rok p.n.e.
- c) napisanie (opracowanie) „Ramayany” — 4378 rok p.n.e.
- d) odlet (wniebowstąpienie) Ramy — 4377 rok p.n.e.
- e) początek wojny opisanej w „Mahabharacie” — 13 października 3047 rok p.n.e.
- f) dokładną lokalizację zaginionego kontynentu „Lanka”
- g) dokładną lokalizację starożytnego miasta „Ayodhya”
- h) dokładną lokalizację stolicy zaginionego kontynentu „Lanka Nagar”

Przyznać trzeba, iż dane te, oparte na autentycznych dokumentach sprzed ponad 5600 lat („Kalendarz Wedycki”) i ok. 4700 lat (książka w języku Karnataka „Vymani-ka Shastra”), zakrawają na rewelację.

W tym kontekście nie sposób zgodzić się z poglądem, iż „wojny atomowe” były tak dawne, jak to sugeruje A. Mora; raczej działy się w czasach całkiem historycznych. Ciekawe, iż pewne dane biblijne oraz pewne wzmianki u Homera jak gdyby potwierdzają ów okres wojny, wymieniony w „Mahabharacie”. Np. Homer wspomina w „Iliadzie”, iż „bogowie często udawali się na południe, na krancze ziemi, do ciemnoskórych Etiopów”.

Biorąc pod uwagę, iż około 5000 lat temu biegun magnetyczny północny leżał nieco dalej na południowy zachód niż obecnie, trzeba przyjąć kilkustopniową poprawkę do kierunków geograficznych ówczesnych (w stronę odwrotną do ruchu wskazówek zegara), to jest ówczesny kierunek południowy pokrywa się z obecnym, lecz z odchyleniem na wschód. A taki kierunek z Olimpu wiedzie wprost do kontynentu „Lanka”.

PRYZNAJE, że nie znam materiałów źródłowych, o których wspomina Kazimierz Bzowski. Z opisu sądząc, są one rzeczywiście rewelacyjne: wyjątkową i uściślają szereg zagadnień z „wojny bogów” związanych.

Zawarte jednak w liście dane nie stoją, moim zdaniem, w sprzeczności z przedstawioną przeze mnie wziętą przebiegu wypadków. Nawet wiza K. Bzowskiego w gruncie rzeczy nie jest sprzeczna z moją.

Unikam odwoływania się do wpływu „kosmitów”, nie chcę bowiem „mnożyć bytów bez istotej potrzeby” — z jednej strony; a z drugiej — stoję wobec konieczności wyjaśnienia, sobie przynajmniej, nie budzącego na ogół wątpliwości faktu krzyżowania się bogów z ludźmi, co przecież wymaga zgodności genetycznej. Dodatkowo: przekazy wskazują, że bogowie czerpali z tego faktu spore „nazwiny” to, przyjemności, nie można więc przyjąć, że były to wyłącznie zabiegi szluczne, próbowkowe czy laboratoryjne.

Trudno nie zgodzić się z autorem B-stu, że jedna przynajmniej z wojen atomowych miała miejsce w czasach historycznych. Były jednak również inne wojny, wcześniejsze, do których „dojrzeć” się można w starych przekazach, a także znaleźć, jak sądzę, ich ślady materialne. Dlatego myślę, że mój „seriał” powinien być zatytułowany raczej w liczbie mnogiej: „Atomowe wojny bogów”.

W JAKUBOWICACH MURGWANYCH DOGORYWA PAŁAC

JEST to wprost idealne miejsce na ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy jakiejś lubelskiej firmy. Parę kilometrów od Lublina, na uboczu, otoczone zielenią 100-letniego parku. Pałac wystawili Tęczyńscy na przełomie XVI i XVII wieku. W następnych latach był rozbudowywany, otoczono go murami oporowymi, postawiono bramę wjazdową, a pod koniec XIX wieku staraniem Aurelego Grodzickiego przebudowano, nadając mu neogotycki charakter. Pałac żył, a teraz umiera.

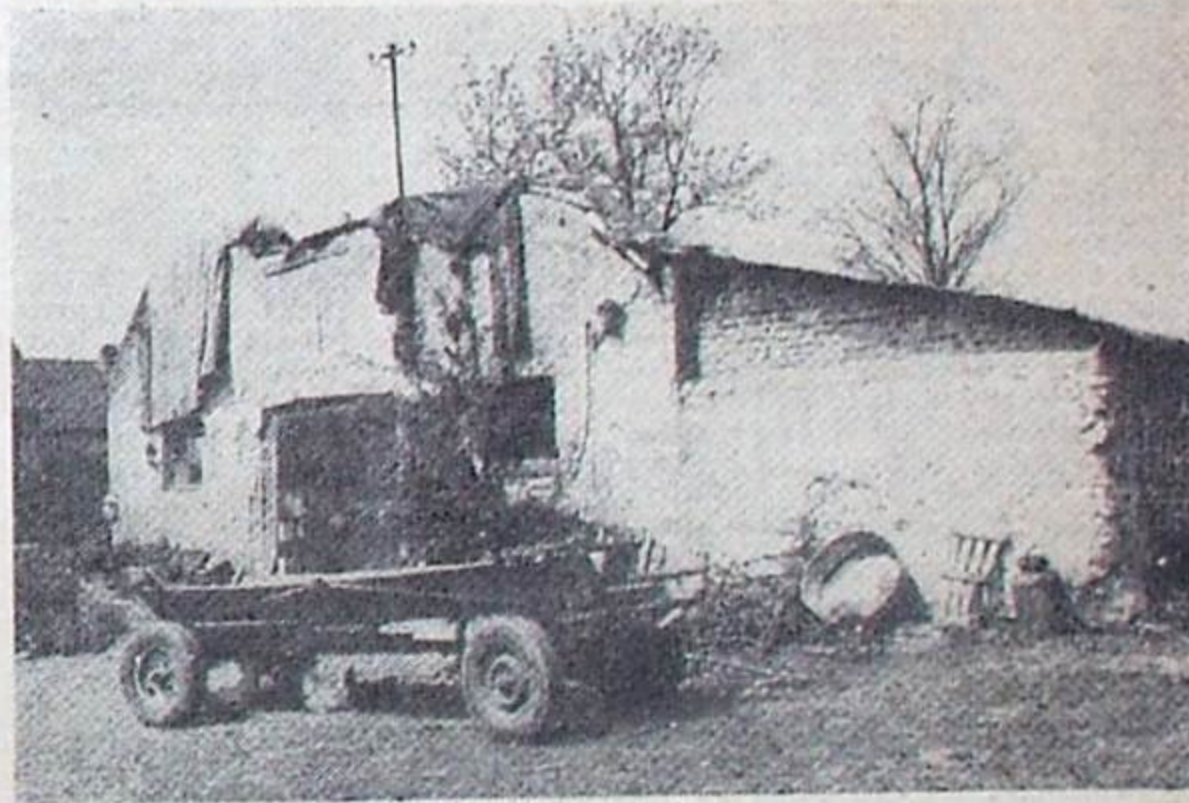
Od lat właścicielem obiektu jest lubelskie Muzeum Okręgowe, które zamierzało tu ulokować składnicę muzealną (Pracownię Konserwacji Zabytków już dość dawno sprawiły dokumentację). Później koncepcje się zmieniły. Pałac jako przyszły ośrodek weekendowy, zainteresował Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Lublinie, jednak dość szybko zrezygnowano. Ostatnio do obiektu przymierza się lubelski oddział PKS, widząc tutaj ośrodek konferencyjny w skali swego zjednoczenia, które wszak sprawę rozważa i zwleka z decyzją. Podobno Lubelskie Zagłębie Węglowe także spogląda w stronę Jakubowic...

Tymczasem pałac idzie w ruinę, burze przewracają ściany, albowiem PKZ nie mają „moce” żeby chociaż zabezpieczyć mury, aż znajdzie się poważny inwestor i „moce”, żeby rozpocząć remont.

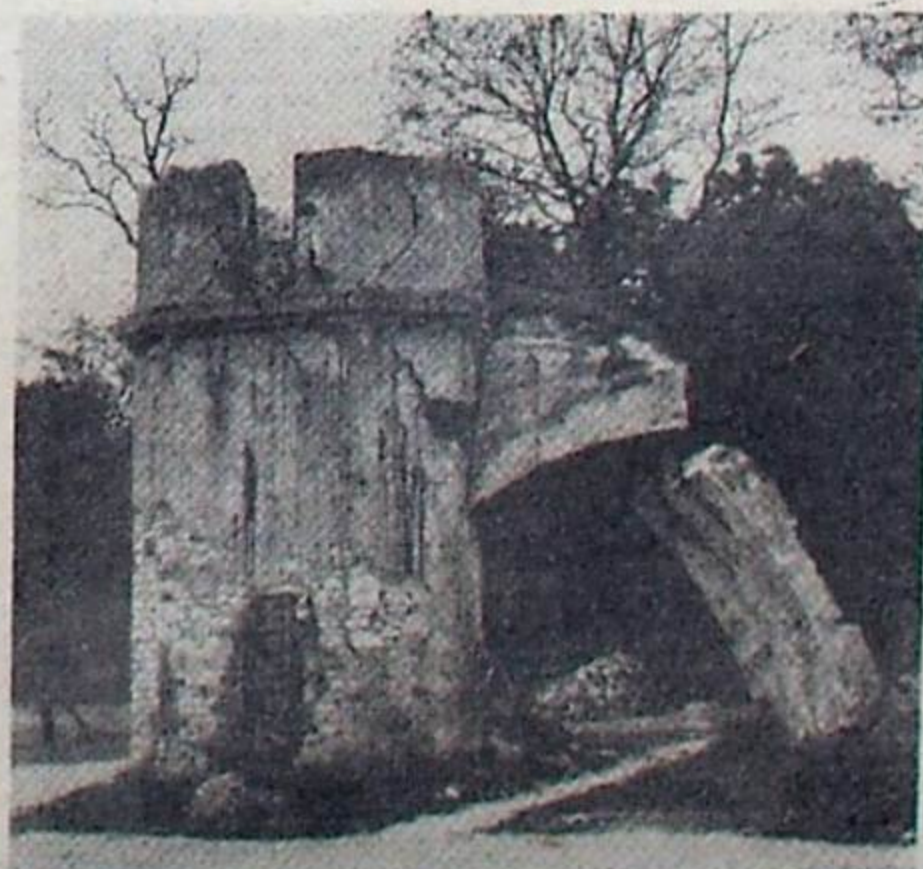
Pociej



Wieża neogotycka



Zabudowania przypałacowe



Brama wjazdowa

Fotografował
Waldemar Stępień

POCZTA literacka



Artur B. Sz. Gdańsk. Z nieporównanie większym zainteresowaniem przeczytałem Pański list, niż przypięte doń wiersze.
Niech ślady moje dzik znośnie
Zdeptaną trawę spasię sarna
Pobarył mnie jagoda czarna
A wiewiórka skryje jak orzech
Jako dyplomowany (i) polonista, chyba bez większego trudu zgodzi się Pan, że zwrotki podobne tej — nie są poezją. Przykro mi, że nie będziemy również mogli skorzystać z utworów Pańskiego kolegi Selima — te są jeszcze bardziej surowe, niż wiersze buntownicze, a druk w „Poezji” czy w jakimkolwiek innym piśmie nie nobilituje autora na zawsze. Zapraszam obydwa Panów, za jakiś czas, z nowymi utworami...

Marian T. Chelm. „Wiersze moje — i nie tylko — są moim drugim życiem. Zawsze znajduję w nich pocieszenie i bunt. Wybrałem sobie pseudonim „Luton”. Luton to drugoligowa drużyna angielska, która bezskutecznie od wielu lat próbuje awansować do I ligi”. Panie Marianie: pseudonim trafny, bo chociaż jest Pan — już w 30 wiosnie życia — autorem 500 wierszy, to jednak na I ligę przyjdzie jeszcze poczekać. Biorę na świadków wszystkich Pańskich rywali, że nie wchodził się do poetyckiej ligi takimi jak ta zwrotkami:
Jest coś między ludźmi
jakich śmiech żal
jest coś między ludźmi
gdy się nie rozstają

Jolanta O. Lublin. Wbrew Pani obawom, dotarłem do końca listu i wierszy. Co do nich, to rzecz można by zamknąć samym cytatem z listu: „Wszystkie są na jedną kopytę: chłopak, dziewczyna, tęsknota, rezygnacja — uczucia chyba nie obce 13-letniej dziewczynie”. Ano, nie obce, to widac z wierszy. Nie wyciągaj jednak całego arsenału dowodowego na to, że są to wiersze słabutkie, żadne, jeśli przyłożyć do nich jakiegokolwiek miary poetyckiej. Ważne jest to, że nie mając złudzeń jakościowych, pozostaje Pani wierna swoim wierszom — one Pani pomagają, są potrzebne, przynoszą oczyszczenie, czasem zapomnienie. Z takim traktowaniem swojego pisania staje Pani w równym rzędzie z najwybitniejszymi — dla nich także poezja jest formą katarsis.

Sławomir G. Warszawa. Za dużo gadulstwa, podniosłej retoryki. Ale jest pewna dość ważna nuta w niektórych wierszach i tylko ona może przeciwstawić owej retoryce. Z tą myślą zafrumy: „Jest takie miejsce...”, „Nie zaprosiście mnie...”, „Starczy”. Proszę o kilka zdań odnośnie danych „technicno-taktycznych” o sobie. A także o rozpatrzenie mojej propozycji wstawienia słowa „nawet” do przedostatniego wersu w „Nie zaprosiście mnie...”, aby zabrzmiał tak:
I gdzie nawet kamień nie może pozostać.

Maria S. Kraków. Tym razem znacznie lepiej. Bardzo mi się podoba (nie boję się tego słowa) wiersz „Na przekór”. Prosty prostota przeżycia prosto przelanego. Chętnie go z miejsc tu przytoczyć — wszystkim ku uwadze, a wielu ku nauce, ale zatrzymuję do osobnego druku. Proponuję usunąć z niego wszelką interpunkcję — kropki i przecinki są tu jak pinzaki na czytelnym obrazie. A teraz uwaga o wierszach „z rymem”. Na tej stronie jakże ciężko do końca utrzymać czysty ton! Oto dowód z „Suchego lata”, ostatnia zwrotka z tzw. rymem rozrzedzonym:
Nad młodociałą zatrąbił bawo,
z całej siły w poduszki róg.
Tak się kładę rzewnie cierpięło.
Jak to człowiek zmienić się mógł.
Pierwsze dwie linijki pusznią się śliczną przenośną „zatrąbił...w poduszki róg” (zapłakać) natomiast dwie następne, z niezczepnym wymuszonym rymem „mógł” — miszczą je doszczętnie!

Dorota K. Zamość. Myślę, że po odpowiedzi, bez względu na to, jaka ona będzie, nadal będę tworzyła. Oto zdecydowana postawa bojowniczką Poezji! Tak trzeba. Tym bardziej, że odporność na ciosy jest Pani potrzebna: chłopak czyba nie kocha, wiersze są natwne, sztambuchowe, pensjonarsko sentymentalne. Już same określenia dyskwalifikują opis szczyrych i głębokich przeżyć i uczuć: „katuzze”, „dusze”, „rozkosz”. Tylko do pamiętnika koleżanki nadają się takie jak to inwokacje: „Widzę Ciebie Twój obraz noszę w mej duszy.”

Gdzie spojrzę tam wszędzie Ty
Nie znoszę tej katuzzy.
Jeśli on leży sobie tyle co Pani — czyli 18 lat — radzę powiedzieć mu o tym normalnym językiem kochającej dziewczyny, bo nie wykluczone, że i on skrobnie górnolotno ody, zamiast objąć Panią ramieniem i powiedzieć: „Kocham Cię!” Czy jest coś bardziej poetyckiego niż te dwa proste słowa?
Urzuć D. Łódź, Włodzimierz M. Zakopane, B. Z. Lublin, Maria D. Zamość — nie skorzystamy.
H. P.

EKRAN I WIDZ

Ostrożnie z reaktorami

CZEGO to filmowcy nie wymyślali! Kręcąc film z gatunku katastroficznego a twierdząc, że to odważna publicystyka, przestrzegająca ludzkość przed skazaniem ziemskiego środowiska przez oszalały reaktor atomowy! Służący — nola bene — nader pokojowym celem: zaopatrywaniu w moc turbin wielkiej elektrowni.

Tak zapewne myślało wielu recenzentów uczestniczących rok temu w premierowym pokazie amerykańskiego obrazu „Chiński syndrom” w reżyserii Jamesa Bridgessa. Tymczasem rzekomy „dreszczowiec” okazał się filmem iście proroczym: w dwadzieścia dni po jego premierze świat obiegła wiadomość o groźnej awarii w atomowej siłowni położonej elektrowni Three Mile Island w pobliżu miasta Harrisburg w stanie Pensylwania w USA. Nastąpił trudny do zahamowania przeciek w systemie wodnym służącym do chłodzenia reaktora atomowego, groziło to nieprawdopodobnymi komplikacjami, aż do powstania niekontrolowanej reakcji jądrowej.

Gdyby nie opanowano przecieku, mogłaby zaistnieć sytuacja, którą technicy atomowi nazywają w swym

zawodowym slangu... „chińskim syndromem”. To znaczy powstaniem tak ogromnej temperatury, że reaktor topiąc pod sobą podłoże, zapada się coraz głębiej i głębiej, aby — teoretycznie — przewierciwszy w ten sposób naszą planetę na wyłot wyjść po jej drugiej stronie, „gdzieś aż w Chinach”.

Ile w tym prawdy a ile fantazji? Zwykle, doprawdy nie mam pojęcia. Faktem jest jednak, że niebezpieczeństwo w Three Mile Island musiało być wielkim wstrząsem dla całego świata. W pewnym momencie to już przestała być sprawa prasowej sensacji: w wielu krajach, m. in. we Francji, podniosły się poważne głosy na temat podjęcia przez odpowiednie instytucje szczegółowych badań nad systemami zabezpieczeń elektrowni atomowych, aby nie doszło nigdy do sytuacji z Pensylwanii. Ostatecznie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, fala związanego z nim światowego napięcia opadła, powrócili do Harrisburga jego ewakuowani mieszkańcy. Lecz krzącający wciąż po ekranach świata „Chiński syndrom” przypomina, że „artystyczne wizje”, od których tak bardzo stroną technicy, przyoblekają się nierzad w nader realny kształt.

Kiedy zdarzył się wypadek w Three Mile Island, w okolicznych miasteczkach szedł właśnie od trzech dni „Chiński syndrom”. Widzowie oglądali na ekranie historię, jak to popularna reporterka telewizyjna uczestniczy przypadkowo ze swą ekipą w nagłej, niezrozumiałej początkowo awarii w atomowej siłowni, która wynikała z... wad konstrukcyjnych w wodnym systemie chłodzenia reaktora!

Treścią dalszej części filmu były m. in. próby nie tylko opanowania groźnej sytuacji (co mieściłoby się do skonałe w ramach filmu katastroficznego), ale również, a może przede wszystkim, usiłowania dziennikarki — jej współpracowników — wydobyci prawdy na światło dzienne, uświadomienia społeczeństwu niebezpieczeństwa jakie nad nim zawisło i wywołania odpowiedniego rezonansu społecznego. I to by były właśnie owe najważniejsze, publicystyczne przesłania „Chińskiego syndromu”. Przesłania skierowane przede wszystkim przeciw określonym układom systemu kapitalistycznego, jego wielkim trustom spółkom nie liczącym się z nikim i niczym, co by mogło zagrażać ich interesom. I przesłanie publicystycznej natury ogólniejszej: przypominające całemu światu, że energia atomowa — nawet ta wykorzystywana do celów pokojowych, jest również bardzo niebezpieczna, i że trzeba z nią postępować ostrożnie!

W roli telewizyjnej reporterki występuje Jane Fonda, jej partnerem jest Jack Lemmon, który stworzył doskonałą, dramatyczną kreację, zupełnie odbiegającą od jego dotychczasowych — w większości komediowo-charakterystycznych — postaci. Ta para aktorów, no i sam przedstawiony problem, świadczą przede wszystkim o wartości „Chińskiego syndromu”, który — powiedział sobie jednak szczerze — chwilami staje się trochę rozwlekły i nawet nudnawy. I może przy całym swoim szlachetnym przesłaniu, nie zyskałby aż takiego rogu, gdyby nie... wypadek w Three Mile Island.
M. D.

OKOLICE SZTUKI

Fantazja Kurzątkowskiego

UCZEŃ Stanisława Lentza w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, żołnierz w armii carskiej, jeniec austriacki podczas pierwszej wojny światowej, nauczyciel gimnazjalny w Radomiu, a od 1925 roku w Lubartowie, autor linorytów, rysunków, akwarel, olejów i pasteli o tematyce głównie architektonicznej, współzałożyciel i wieloletni prezes lubelskiego związku plastyków — Juliusz Kurzątkowski zmarł w Lublinie w 1952 roku, po przeżyciu w tym mieście ponad dwadzieścia pracowitych lat. Na pośmiertną wystawę artysty przyszło potem czekać lat dziewięć, z czego można wyciągnąć nieco makabryczny wniosek, że odchodzący ze świata w Lublinie malarz czy grafik źle wybrał miejsce wiecznego spoczynku. Tutejsze środowisko i instytucje — jeśli z nim związane mają bowiem widoczną skłonność do zapominania o przeszłości.

Do otwarcia kolejnej ekspozycji indywidualnej Juliusza Kurzątkowskiego doszło w czerwcu bieżącego roku — oczywiście nie w Lublinie, nie w którymś z naszych znacznych muzeów czy BWA, lecz w Kazimierzu Dolnym. Dyrektor Jerzy Żurawski, kierujący tamtejszą placówką muzealną, od dłuższego już czasu przygotowuje wystawę twórczości plastycznej, inspirowanej pejzażem i innymi realiami miasteczka, które uważa artystów twórczo

ciło już przy końcu XVIII wieku. Kurzątkowski wizytował Kazimierz po drugiej wojnie światowej, rysował jego obiekty, a najciekawszymi z tych prac są niewątpliwie nastrojowe i okultury, wykonywane pastelami na czarnym papierze. Autor okazał się tu wrażliwym kolorystą, co jest warte podkreślenia również i z tego względu, że twórca „Widoku na farę i zamek” najczęściej zajmował się grafiką czarno-białą (linoryt), rysunkiem (ołówkowym, kredkowym), rzadziej pracując w technice malarstwa olejnego, dającej przecież szerokie możliwości realizacji uzdolnień kolorystycznych, inne, niż uprawiana przez twórcę winiet „Teki Szkolnej” czy „Promyka” akwarela.

Wystawa Kurzątkowskiego w Galerii Letniej nie ogranicza się jednak do kazimierzanów, prezentując właściwie wszystkie tematy i problemy twórczości artysty, który urodził się w 1888 roku w Radomiu, aby tak mocno ostatecznie związać się z Lublinem. Należy to uznać za rozwiązanie wyjątkowo szczęśliwe. Dziewiętnaście lat od ostatniej ekspozycji indywidualnej tego artysty, urządzonej w lubelskim oddziale CBWA, mamy oto okazję zapoznać się z zestawem obszernie informującym o zainteresowaniach i spekulacjach graficznych, rysunkowych i akwarelowych Kurzątkowskiego.

Autor „Bramy pałacu Olizarów” — w budynku tym mieści się dziś Wojewódzki Dom Kultury — najczęściej i zapewne najchętniej zajmował się tematem starej architektury, rysując i malując obiekty zabytkowe Lublina, Kazimierza, Torunia, Gdańska, Lubartowa. Po drugiej wojnie na koszt własny wyprawił się na Dolny Śląsk — tylko po to, aby zanotować na papierze wygląd gotyckich czy barokowych budowli Wrocławia, Legnicy,

Kłodzka, Jeleniej Góry. W latach czterdziestych przebywał ponadto w Szczecinie, Poznaniu i Gdańsku — w tym samym celu. Działo się to w owym czasie, kiedy Jan Bułhak, jako pierwszy wybitny fotograf polski, uwieczniał na taśmie widoki Ziemi Odzyskanych. Ciekawa i pouczająca mogłaby być wspólna wystawa obu artystów, przedstawiająca tamte tereny w rysunku i akwareli oraz obiektywie.

W wielu szkicach czy skończonych pracach Kurzątkowski dbał o realistyczną wierność szczegółu, do grup lirycznego dokumentu można też zaliczyć jego akwarele przedstawiające prace renowacyjne na lubelskim Starym Mieście. Najczęściej jednak komponował swobodnie, nie licząc się zbyt z strukturą naturalnych pejzaży, które interpretował, nierzadko posługując się deformacją, chętnie konfrontował takie skrajne wartości, jak biel i czerń, co potęgowało w pracach — przede wszystkim w linorytach pejzażowych z lat 1929—1944 — napięcie dramatyczne. Na co dzień opanowany, ujmujący — ten wieloletni pedagog, działacz towarzystw naukowych i krajoznawczych ujawniał w swej twórczości naturę zgoła romantyczną.

Juliusz Kurzątkowski pozostawił dorobek o nierównym poziomie, co zrozumiałe w przypadku człowieka, który tylko „w wolnych chwilach” mógł pozwolić sobie na luksus uprawiania plastyki. Są jednak w tej twórczości prace wysokiej próby, godne szczególnej naszej opieki. Dobrze więc, że Muzeum Kazimierza Dolnego zakupiło wszystkie rysunki, akwarele i pastele o interesującej je tematyce. Tym samym posiada ono więcej, znakomicie więcej dzieł lubelskiego artysty, niż Muzeum Okręgowe w Lublinie.
IJK

KRONIKA

- Przebywająca w Lublinie delegacja włoskiego uniwersytetu w Ascogli Piceno (talia uczełni w Perugii) podpisała porozumienie o współpracy z wydziałami UMCS: Ekonomicznym, obchodzącym właśnie 18-lecie, oraz Biologii i Nauk o Ziemi. Goście odwiedzili ponadto Zamość oraz indywidualne gospodarstwo rolne we wsi Wólka koło tego miasta, przygotowującego się intensywnie do dożynków centralnych.
- Natomiast do Włoch wyjechała filharmonia lubelska, która pod dyrekcją Adama Natanka da 10 koncertów w kilku miastach. W programie: m. in. Moniuszko, Różycki, Czajkowski, Gounod, Sibelius i Strauss.
- 130 dzieci pracowników PGR Rozkosz z woj. białostockiego uczyć się będzie na koloniach w Górach Świętokrzyskich języka angielskiego. Good luck!
- Po Warszawie, Krzysztof Kurzątkowski wystawił swoje malarstwo w Łódzkiej Salonie Sztuki Współczesnej. Mniej więcej w tym samym czasie (otwarcie 21 czerwca) czynna była w Galerii 72 w Chelmie ekspozycja prac zmarłego niedawno Mariana Bogusza, artysty mającego poważny wkład w rozwój sztuki nowoczesnej w Polsce, określonego związanego z Lublinem. Natomiast w

- zawodowym slangu... „chińskim syndromem”! To znaczy powstaniem tak ogromnej temperatury, że reaktor topiąc pod sobą podłoże, zapada się coraz głębiej i głębiej, aby — teoretycznie — przewierciwszy w ten sposób naszą planetę na wyłot wyjść po jej drugiej stronie, „gdzieś aż w Chinach”.
- Ile w tym prawdy a ile fantazji? Zwykle, doprawdy nie mam pojęcia. Faktem jest jednak, że niebezpieczeństwo w Three Mile Island musiało być wielkim wstrząsem dla całego świata. W pewnym momencie to już przestała być sprawa prasowej sensacji: w wielu krajach, m. in. we Francji, podniosły się poważne głosy na temat podjęcia przez odpowiednie instytucje szczegółowych badań nad systemami zabezpieczeń elektrowni atomowych, aby nie doszło nigdy do sytuacji z Pensylwanii. Ostatecznie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, fala związanego z nim światowego napięcia opadła, powrócili do Harrisburga jego ewakuowani mieszkańcy. Lecz krzącający wciąż po ekranach świata „Chiński syndrom” przypomina, że „artystyczne wizje”, od których tak bardzo stroną technicy, przyoblekają się nierzad w nader realny kształt.
- Kiedy zdarzył się wypadek w Three Mile Island, w okolicznych miasteczkach szedł właśnie od trzech dni „Chiński syndrom”. Widzowie oglądali na ekranie historię, jak to popularna reporterka telewizyjna uczestniczy przypadkowo ze swą ekipą w nagłej, niezrozumiałej początkowo awarii w atomowej siłowni, która wynikała z... wad konstrukcyjnych w wodnym systemie chłodzenia reaktora!
- zawodowym slangu... „chińskim syndromem”! To znaczy powstaniem tak ogromnej temperatury, że reaktor topiąc pod sobą podłoże, zapada się coraz głębiej i głębiej, aby — teoretycznie — przewierciwszy w ten sposób naszą planetę na wyłot wyjść po jej drugiej stronie, „gdzieś aż w Chinach”.
- Ile w tym prawdy a ile fantazji? Zwykle, doprawdy nie mam pojęcia. Faktem jest jednak, że niebezpieczeństwo w Three Mile Island musiało być wielkim wstrząsem dla całego świata. W pewnym momencie to już przestała być sprawa prasowej sensacji: w wielu krajach, m. in. we Francji, podniosły się poważne głosy na temat podjęcia przez odpowiednie instytucje szczegółowych badań nad systemami zabezpieczeń elektrowni atomowych, aby nie doszło nigdy do sytuacji z Pensylwanii. Ostatecznie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, fala związanego z nim światowego napięcia opadła, powrócili do Harrisburga jego ewakuowani mieszkańcy. Lecz krzącający wciąż po ekranach świata „Chiński syndrom” przypomina, że „artystyczne wizje”, od których tak bardzo stroną technicy, przyoblekają się nierzad w nader realny kształt.
- Kiedy zdarzył się wypadek w Three Mile Island, w okolicznych miasteczkach szedł właśnie od trzech dni „Chiński syndrom”. Widzowie oglądali na ekranie historię, jak to popularna reporterka telewizyjna uczestniczy przypadkowo ze swą ekipą w nagłej, niezrozumiałej początkowo awarii w atomowej siłowni, która wynikała z... wad konstrukcyjnych w wodnym systemie chłodzenia reaktora!

- zawodowym slangu... „chińskim syndromem”! To znaczy powstaniem tak ogromnej temperatury, że reaktor topiąc pod sobą podłoże, zapada się coraz głębiej i głębiej, aby — teoretycznie — przewierciwszy w ten sposób naszą planetę na wyłot wyjść po jej drugiej stronie, „gdzieś aż w Chinach”.
- Ile w tym prawdy a ile fantazji? Zwykle, doprawdy nie mam pojęcia. Faktem jest jednak, że niebezpieczeństwo w Three Mile Island musiało być wielkim wstrząsem dla całego świata. W pewnym momencie to już przestała być sprawa prasowej sensacji: w wielu krajach, m. in. we Francji, podniosły się poważne głosy na temat podjęcia przez odpowiednie instytucje szczegółowych badań nad systemami zabezpieczeń elektrowni atomowych, aby nie doszło nigdy do sytuacji z Pensylwanii. Ostatecznie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, fala związanego z nim światowego napięcia opadła, powrócili do Harrisburga jego ewakuowani mieszkańcy. Lecz krzącający wciąż po ekranach świata „Chiński syndrom” przypomina, że „artystyczne wizje”, od których tak bardzo stroną technicy, przyoblekają się nierzad w nader realny kształt.
- Kiedy zdarzył się wypadek w Three Mile Island, w okolicznych miasteczkach szedł właśnie od trzech dni „Chiński syndrom”. Widzowie oglądali na ekranie historię, jak to popularna reporterka telewizyjna uczestniczy przypadkowo ze swą ekipą w nagłej, niezrozumiałej początkowo awarii w atomowej siłowni, która wynikała z... wad konstrukcyjnych w wodnym systemie chłodzenia reaktora!
- głonu, swego czasu kierownik katedry etnografii UMCS — otrzymał odznakę „Za służbę dla Lubelszczyzny”. Ponadto Senat Uniwersytetu im. M. Skłodowskiej-Curie uhonorował 70-letniego uczonego medalem „Nauka w Służbie Ludu”. Nasze serdeczne gratulacje.
- Rodzice dzieci wiejskich niechętnie posyłają swoje potomstwo do dziecięcych wakacyjnych, funkcjonujących zazwyczaj w budynkach szkolnych, ponieważ wymagają to pewnej troski z ich strony o przyrodnie dziełeczka i chłopców. Tak przynajmniej przedstawia się sprawa w gminie Hrubieszów. Jest to zapewne przyczyną deprecjonującej kwestii o nazwie: deformacja pokolenia na wsi, o których coraz częściej pisze prasa krajowa.
- Uruchamiamy w Lublinie supernowoczesną produkcję światłowodów dla potrzeb telekomunikacji, a tymczasem w niedalekim Opolu Lubelskim centrala telefonizacji miejscowej poczty działa „na korbki”, a budynek grozi zawaleniem.
- Z pewnym opóźnieniem donosimy, że dyrektor Muzeum Okręgowego w Lublinie doskonale się prezentuje w ludowym stroju podlaskim. Kto nie wierzy, niech obejrzy zdjęcie (w kolorze), zamieszczone w „Panoramie”.

Władysław Broniewski

Karod doła literatā,
Fehly obsiadły Olka Wata,
Jama — pluskwy, zupa — pieska,
Stawar tylek stłuki na deskach,
Broniewski wyrzygał zupę
— Tak nam Defa daje w dupę!

Na „Miesięcznik Literacki”
Odebrł chrzest proletariacki!

Powyższy tekst spisał Tadeusz Jasiński od współwznięcia Władysława Broniewskiego, Mieczysława Dobrowolskiego, działacza rewolucyjnego w okresie przedwojennym, w czasie okupacji i po wojnie. Według jego oświadczenia, poeta napisał te wersy na futrynie wspólnej celi w warszawskim Więzieniu Centralnym, a on nauczył się ich i je zapamiętał. Było to w roku 1931 po aresztowaniu redaktorów „Miesięcznika Literackiego” i zawieszeniu tego periodyku przez cenzurę. Imię Jan autor wiązał z Hemplem. Z członków redakcji Broniewski nie wymienił w tym wierszu jedynie Stanisława Ryszarda Standego. Wybitna znawczyni dorobku Broniewskiego, Feliksa Lichodziejewska, jest w posiadaniu jeszcze dwóch wersji tej fraszki. Powyższą zamierza ona, jako jedną z trzech, włączyć do krytycznego wydania dzieł poety.

Kazimierz Pawełek

HYMN DO MICHALINY WISŁOCKIEJ

Wysła was święta jest i boska,
bardziej wielbiona niż Skłodowska,
bo pozwoliłaś w łóżku hasać
i kochać nam się na polasa.

Ty zapamiętałaś, badamy szczerzy,
bogactw seksualnej wiedzy
i dziś ostatnie nawet ciele
potrafi głębiej, dłużej, śmieć.

O sławna, sławna, sławna Michalina,
bo za twoją, to za twoją wszak przyczynę
szelkiej cnoty polskich dziewic szybszej ginę
i wcześniej się zrobiło pod pierzyną.

Dawniej led polski, ktoś wie czemuś
bochał się tylko „po bożemu”,
a teraz nawet w kurnych chatkach
wiedzą jak Chińczyk, Włoch czy Tubak...

We dzięki tobie, światła pani,
bez stał się nam powzednim deusem,
dziękuję cię błagamy wżechwiedzącas
bez nas sposobów, ucz bez końca...

O sławna, sławna, sławna Michalina,
bo za twoją, to za twoją wszak przyczynę
szelkiej cnoty polskich dziewic szybszej ginę
i wcześniej się zrobiło pod pierzyną...

Font to tekst piosenki (muzyka: Jacek Abramowicz) z programu „Ministerstwo miłości” kabaretu „Racjus” w Lublinie. Zgrywa operę, ale jest Michaliną nie w swojej redakcji spore szotczanków...

Jacek Lech — super star

Istvan Grabowski

W JEDNYM z czerwcowych numerów „Kultury” znalazł się bardzo interesujący artykuł na temat fuchy. Wypowiadał się w nim ludzie różnych zawodów, przekazując reporterowi własne rozumienie tego pojęcia. W ogólnym przekonaniu fucha identyfikuje się z robotą wykonaną byle jak, popolicie mówiąc z chałturą. Artykuł „Kultury” przypomniał mi się jako żywo, kiedy w czerwcu słuchałem lubelskiego koncertu, wiecznie eleganckiego, Jacka Lecha. Reportaż i sztuka wokalna ubiśnie nastolatek budzi we mnie brzydkie uczucia. Nie będę ukrywał, że wykonawstwo Jacka Lecha kojarzy mi się z mało wybrednym gustem artystycznym, sztywniactwem estradowym i awyeczajną szmirką. Karierę wokalisty obserwuję bacznie od momentu jego debiutu w Czerwono-Czarnych. Moga zatem stwierdzić, iż w przeciągu kilkunastu lat flirta z lekką miazgą nie poczynił absolutnie żadnych postępów, ostatnio nawet cofnął się. Nie wyciągnął też sensownych dla siebie wniosków z rozwiązania, kompromitującego się w ostatnich latach istnienia, ansamblu. Poszedł dalej, stając się emisariuszem najjaśniejszej rozrywki — tskioj, co to słucha się jednym, a wypuszcza drugim uchena.

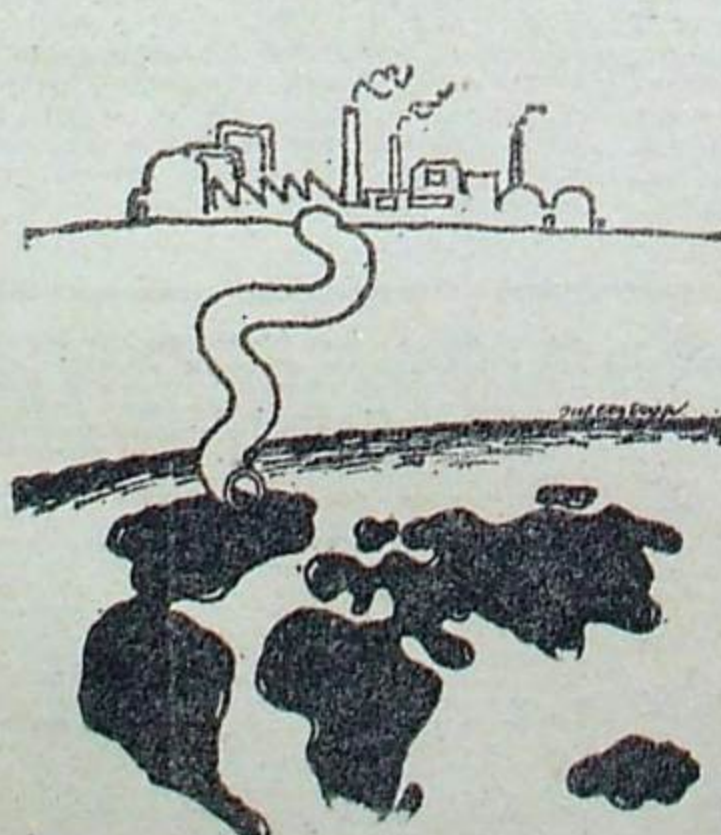
Od żadnych paru lat widzimy Lecha w towarzystwie czwartego garnituru „artystów”, co bynajmniej nie przeszkadza w odbywaniu setek koncertów i wydawaniu kolejnych longplayów (szczerze mówiąc — nie do przyjęcia). Ostatni nosił bodajże tytuł „Latawce porwał wiatr”. O walorach estetyczno-muzycznych płyty wolałbym się nie wypowiadać w obawie przed atakiem mdłości. Podobnie na scenie — Lech śpiewa płacziwo-bezczącym głosem, mizdrzy się do publiczności, jakby taka postawa miała zapewnić powodzenie jego ewidentnym knotom repertuarowym!

Piosenkarze udzielający wywiadów (obojętnie — radiowych czy prasowych) ogromnie lubią zgrywać się na ludzi z ambicjami. Z ich wypowiedzi wysnuć można, że oczywiście unikają pusto brzmiących tekstów „o niczym”, dbają o rozbudowany aranz pomysłowych kompozycji, podnoszą wciąż umiejętności dykcynno-interpretacyjne, nagrywa-

ją w towarzystwie najlepszych instrumentalistów itp. itd. Nie łajmy się zwięźle tym zapewnieniom. To wszystko teoria, znacznie odbiegająca od życiowej praktyki. Na co dzień bowiem, nagrywają byle co i byle jak. Kiedy słuchamy później piosenki w radiu, na płycie czy podczas koncertu — włos się człowiekowi jeży. Skąd, u czorta, biorą się takie potworki? Odpowiedź jest zdziwiająco prosta — z braku pomysłów, umiejętności i rzetelności zarówno twórcy dziełka, jak i wykonawcy.

Chałturą trudno jest walczyć. Wykonawcy, głównie zaś ich opiekunowie, potrafią skutecznie szermować wymagowanymi sukcesami na podrzędnych przeglądach i nikomu niezmiernych festiwalach piosenki, liczbą nagranych płyt i wyławianych przebojów, wreszcie, sumą świetnie sprzedanych koncertów. Kto odważy się naruszyć autorytet gwiazdora, którego publiczność okłaskuje minimum trzy razy dziennie? O tym, że są to naprzy spręddane zakładom pracy, a publiczność ściaga się wręcz siłą, nikt z organizatorów nie wspomni słówkiem. Sława artysty bliższe może pełnym blaskiem.

Jacek Lech to także jeden z czołowych bohaterów piosenkarzkiego sukcesu. Na obronę — na długoletnią staż estradowy, współpracę z kilkoma grupami muzycznymi (z Czerwono-Czarnymi na czele), wielokrotne koncerty w ośmiennych krajach i co najmniej dwie Złote płyty. Może więc jeszcze długie lata odcinać spokojnie kupony od zdobytej niegdyś sławy i z powodzeniem śpiewać cukierkowate „szmoncesy”. Gwiazdorowi uchodzą nietakty, nawet jeśli popełnia je permanentnie. A kiedy odejdzie sława, można z powodzeniem śpiewać w... luksusowym lokalu gastronomicznym. Znakomity biznes. Wiedzą o tym doskonale, znani przed laty w Polsce członkowie popularnych grup beatowych. Dziś polowa z nich bawi się w klezmerów w skandynawskich knajpach, grając przeboje, które trudno nazwać ambitnymi. Nie dziwnym się im jednak bardzo. Z ambicji zdążyli dawno wyrosnąć. Naiwnymi romantykami nazywają teraz kolegów, którzy usiłują jeszcze „walczyć” na krajowej scenie.



Rys. Józef Jurekyszyn